

[...]

I Dom

1. Łapy - aresztowanie

27 maja 1944 r o godzinie 4.15 usłyszałem głośne kołatanie do drzwi.

Przebudziłem się i nasłuchiwałem. Kołatanie jeszcze silniejsze powtórzyło się. Zacząłem się zastanawiać - kto to może być? Gienia? (Gienia Krystosiak mieszkała u nas i w tym czasie pracowała na nocną zmianę) Niemożliwe. Gienia stukała zawsze delikatniej, do tego za wcześnie (spojrzałem na zegarek). A może któryś z sąsiadów. Moje wątpliwości rozwiął ojciec, który wyskoczył z łóżka, otworzył drzwi z zasuwy i z powrotem do łóżka wskoczył (też myślał, że to Gienia).

Do mieszkania wpadli gestapowcy. Jeden oficer i czterech żołnierzy uzbrojonych w broń maszynową. Jeden pozostał na podwórku. Rozbiegli się po mieszkaniu sprawdzając, kto jest. Następnie oficer wyjął listę i zaczął pytać kto tu mieszka. Po kolei wyczytywał:

Perkowski Bronisław (ojciec)

Perkowski Henryk (ja)

Perkowska Helena (siostra)

Na liście nie było matki. Wypytywał o zawód i gdzie pracujemy. Najlepiej z rodziny znałem niemiecki, dlatego ja odpowiadałem mu na pytania. Zorientowałem się, że sytuacja dla nas jest krytyczna. W związku z tym zacząłem opowiadać o ważności wykonywanej pracy na rzecz frontu. Tłumaczyłem, że robimy remont głównej kotłowni, bez działania której zakład stanie. Sprawa ta jest więcej niż ważna - gdyż staną podstawowe wydziały m.in. kuźnia, gdzie potężne młoty napędzane są parą. Jeżeli te wydziały staną żaden parowóz nie wyjedzie.

Oficer zamyślił się. Postawił jeszcze parę pytań. Odpowiadając wyolbrzymiałem sytuację, jak mogłem licząc - a może się uda. Oficer po zastanowieniu, powiedział:

– Anziehen. (ubierać się)

To było jednoznaczne, że sprawa została przegrana. Zaczęliśmy się ubierać. Byliśmy zszokowani. Najbardziej chyba ojciec. Założył tylko spodnie i koszulę i nie chciał dalej się ubierać.

Najwięcej inicjatywy wykazała mama. Rzuciła ojcu kurtkę, krzycząc:

– Ubieraj się.

Nam naszykowała cieplejsze ubrania. Do toreb pakowała jedzenie i dodatkową bieliznę. Dla mnie dała swój kożuszek. Ubrałem się pierwszy i czekałem na wyszykowanie się pozostałych.

W pewnym momencie oficer polecił jednemu wartownikowi pozostać i doprowadzić wszystkich, również i mamę do żandarmerii. Sam z czwórką pozostałych gestapowców ruszył do wyjścia zabierając mnie.

Po wyjściu za bramę, wyjął z kieszeni listę i zapytał:

– Gdzie mieszka doktor Serbej?

- On jest lekarzem w zakładzie, ale gdzie mieszka to nie wiem.
- Nowy Rynek 1 - pokazuje na liście.
- To gdzieś daleko, bo u nas jest 11 - odpowiedziałem.

Spojrzał na mnie wściekle i ruszył do przodu patrząc na numery budynków. Doszliśmy do ulicy Piaskowej. Tam znalazł doktora Serbeja.

Pozostawił jednego z gestapowców, celem doprowadzenia doktora Serbeja, a sam z pozostałymi ruszył dalej sprawdzając numery budynków. Doszedł do domu Jankowskich. Sprawdził na liście. Chyba byli, bo zaczął kołatać do drzwi. Otworzyli. Wszedł do środka pozostawiając mnie z jednym z żołnierzy.

Po pewnym czasie wyprowadzają rodzinę Jankowskich. Dołączył mnie do nich i kazał jednemu z gestapowców zaprowadzić nas na żandarmerię, a sam z pozostałymi ruszył dalej, szukać pozostałych według listy.

Na placu przed żandarmerią było sporo ludzi. Rozglądałem się za rodziną. Nie mogłem ich znaleźć. Potem zorientowałem się, że byli jednymi z pierwszych i zamknięto ich w budynku aresztu.

Oddziały gestapo, coraz więcej doprowadzały ludzi. Byli to przeważnie z łapanki a nie z listy. Łapano ludzi idących do pracy lub wracających z nocnej zmiany. Wpadali także do mieszkań zabierając zdezorientowanych ludzi. Łapanka trwała przez prawie cały dzień. Co rozsądniejsi uciekali w pola, ale naiwni wychodzili do miasta wpadając w ręce gestapo.

Niektóre rodziny przyprowadzono z małymi dziećmi. Był koszmar. Po jakimś czasie zaczęto kolejno brać do budynku żandarmerii, w celu spisania danych, a następnie ładowano do samochodów ciężarowych i wraz z eskortą wywożono do więzienia w Białymstoku.

W pierwszym transporcie pojechał mój ojciec, którego widziałem z daleka, gdyż stałem w dalszym szeregu.

Ja, dyskretnie przesuwalem się w dalsze szeregi – a może uda się uciec?

Po jakimś czasie wyprowadzono z aresztu kobiety. Była tam moja mama i siostra. Ustawiono je w dwuszeregu obok wejścia do budynku żandarmerii, szykując do wywiezienia.

Pierwsza stała moja mama. Kiedy popatrzyłem na nią żal mi się jej zrobiło. Chudziutka, w chustce na głowie zawiązanej pod brodą - zatroskana staruszka, a przecież miała 45 lat.

Boże żeby ją zwolnili – tak myślałem. Tak mi jej szkoda. Nie wytrzyma tego wszystkiego. W tym momencie wyszedł na taras (przed wejściem do żandarmerii) oficer dowodzący akcją, rozglądał się po dziedzińcu, czy dużo ludzi, śmiał się, coś mówił do gestapowca stojącego obok, następnie spojrzał na szereg kobiet, dłużej popatrzył na moją mamę i ze śmiechem powiedział:

– Matka, bist du zu alt - gehst du nach Hause (matka jesteś za stara, idź do domu). Mama spojrzała na niego nic nie rozumiejąc. On powtórzył jeszcze:

- Ja, ja, gehst du nach Hause.

Następnie poszedł do wnętrza budynku. Kiedy to usłyszałem zacząłem krzyczeć do mamy, żeby szła do domu.

Nie mogła zrozumieć, gdyż byłem dość daleko. Zacząłem dyskretnie przeskakiwać szeregi, aby się przybliżyć.

Przybliżywszy, zacząłem znowu krzyczeć:

- Mamo, mówił żeby mama szła do domu - niech mama zaraz idzie. Spojrzała i odpowiedziała:
- A jak j a was zostawię? - i rozplakała się.
- Niech mama idzie - krzyczałem - bardziej mama nam pomoże, jak będzie na wolności.
- Ale jego już nie ma - odpowiedziała pokazując na taras.
- To nic, powie mama wartownikowi, że mamę zwolnił komendant.
- Już niech mama idzie, jeżeli chce nam pomóc, bo może być za późno.

Mama ruszyła w kierunku bramy. Obserwowałem to z zapartym tchem. Doszła do wartownika, coś powiedziała i pokazała ręką na budynek żandarmerii.

Wartownik bramę otworzył i wypchnął mamę poza nią.

Myślałem, że rozplacę się z radości. Mamę zwolnili - to chyba cud.

Chyba opatrność boska tak pokierowała, w innym przypadku, to niemożliwe. Zwolnienie mamy, jest jedną z największych radości mojego życia.

Po jakimś czasie przyjechały samochody ciężarowe i zaczęto ładować kobiety, celem wywiezienia do Białegostoku.

Była tam moja siostra - Helena Perkowska.

Ja ciągle przesuwalem się w dalsze szeregi. Nie spieszyłem się do wywozu. Ciągle myślałem o ucieczce. Ale w danych warunkach to było zupełnie nierealne.

Po jakimś czasie przyszedł pod bramę ksiądz Rakowski i prosił wartownika żeby wpuścił. Ksiądz prosił komendanta, aby pozwolił mu zabrać dzieci. Komendant zgodził się. Ksiądz zebrał grupę dzieci i wyprowadził za bramę.

Analizując sytuację, akcja księdza Rakowskiego była dość ryzykowna. Komendant mógł go nie wypuścić i dołączyć do grona aresztowanych (w więzieniu w Białymstoku siedzieli księża wzięci z łapanki).

Późnym popołudniem, patrole dokonujące łapanki, zaczęły wracać na dziedziniec żandarmerii. Łapanka została zakończona.

Na dziedzińcu zostało nas już niewielu. Ludzie z zewnątrz zaczęli podchodzić pod płot żandarmerii (szczególnie ci, których jeszcze rodziny tu były) i rzucali przez płot jedzenie i cieplejsze ubranie. Wartownicy przy płocie wiele nie reagowali, byli zmęczeni. Niektórzy siedząc na ławkach zasypiali. Jeden z zasypiających przez nieuwagę wystrzelił, aż poderwał na nogi pozostałych.

Ale najbardziej zaszokowało mnie to, kiedy za płotem zobaczyłem moją mamę. Przyniosła mi w torbie jedzenie i bieliznę. Chciała mi to podać. Poprosiłem wartownika, żeby mi pozwolił. Zgodził się. Kiedy wziąłem torbę, zacząłem krzyczeć do mamy:

– Niech mama ucieka, bo jeszcze drugi raz złapią. – Zdenerwowałem się że mama przyszła. – szybko niech mama idzie.

– Dobrze już idę – odpowiedziała.

Poszła. Ulżyło mi na sercu.

Po jakimś czasie zaczęto szykować nas do wywiezienia. Wyjechałem ostatnim transportem. W każdym samochodzie ciężarowym siedział gestapowiec, oprócz tego za szeregiem samochodów ciężarowych, na końcu jechał samochód terenowy, w którym siedziało czterech gestapowców uzbrojonych w broń maszynową. Transport skierował się na Płonkę, a następnie do miejscowości Roszki, gdzie było skrzyżowanie z szosą białostocką.

Przy skręcaniu w prawo, samochody zwolniły i w tym momencie nastąpił tragiczny incydent. Młody chłopiec wyskoczył z samochodu i zaczął uciekać w kierunku najbliższych zabudowań. Parę serii z broni maszynowej gestapowców eskortujących w samochodzie terenowym, zatrzymało go na zawsze. Padł w połowie drogi. Ucieczka w terenie odkrytym pod ogniem kilku gestapowców nie ma żadnych szans powodzenia. W młodszej swej wyobraźni nie wziął pod uwagę okoliczności za i przeciw. Zginął na miejscu. Szkoda.

Po godzinie jazdy wjechaliśmy do Białegostoku i przekroczyliśmy bramy więzienia. I tak znalazłem się w więzieniu białostockim.

2. Więzienie Białystok

Na dziedzińcu więziennym zatrzymano samochody i rozpoczęto wyładowywać.

Po otwarciu tylnej klapy samochodu zaczęliśmy wyskakiwać. Problem w tym, że naprzeciw stał gestapowiec i polował żeby trafić kogoś kolbą w głowę. Zorientowałem się, że upatrzył sobie mnie. Myślałem jak za wszelką cenę tego uniknąć. Nie udało się. Trafił mnie kolbą w głowę tak solidnie, aż oderwał się daszek od czapki.

Chwiałem się na nogach, a ze względu na zamroczenie nie wiedziałem, gdzie mam iść. Pomógł mi kolega Czekuć (imienia nie pamiętam), który wziął mnie pod rękę i doprowadził do celi. W celi był niesamowity tłok. Trudno było znaleźć miejsce na podłodze, pomimo to kolega wywalczył miejsce i położył mnie koło siebie. Zaopiekował się mną. Dowiedziałem się potem, że nie wrócił do domu. Prawdopodobnie zginął w którymś z obozów koncentracyjnych.

Na drugi dzień czułem się już lepiej. Oczy miałem zapuchnięte. Kolega posiadał igłę i nici, którymi przyszył mi daszek do czapki. Potem straciłem z nim kontakt, ponieważ po śledztwie nie wracaliśmy do tej samej celi, nawet nie wiem którym transportem on wyjechał z więzienia.

Więzienie białostockie było carskim więzieniem, dlatego budowa jego przypominała budowlę carskiej katorgi. Podłogi były betonowe. Co dzień rano trzeba było myć je wodą. Powodowało to że przez cały dzień były one mokre. Spanie na mokrej podłodze było wyjątkowo uciążliwe. Okna z zewnątrz osłonięte były blachami, w taki sposób że widać było tylko kawałek nieba. Nie można było zobaczyć pięknej zieleni.

Na trzeci czy czwarty dzień zaczęto nas wyprowadzać i szykować kolumny do wymarszu. Dowiedzieliśmy się, że mają nas wywieźć. Odetchnęliśmy z ulgą, bowiem sądziliśmy że nas rozstrzelają, jako zakładników. O rozstrzelaniu informowały afisze rozwieszane na ulicach. O tym wiedzieliśmy. Dlatego każde szczęknięcie zamka w drzwiach celi podrywało nas na nogi - czy to już koniec?

Na dziedzińcu więzienia było dużo gestapowców i funkcjonariuszy SD. Całą akcją wywózki kierował gen. Fromm - Polizeipräsident na obwód białostocki. Bez przerwy krzyczał na podwładnych.

W pewnym momencie podszedł do dwóch stojących gestapowców i głośno do nich wrzeszczał. Jeden z gestapowców coś ze śmiechem odpowiedział. W tym momencie generał machnął ręką, żeby uderzyć w twarz. Ten cofnął głowę (albo od uderzenia głowa odskoczyła) i sięgnął ręką po pistolet. Stojący obok kolega chwycił go za rękę. Stanęli na baczność. Generał jeszcze coś wrzasnął i poszedł dalej. Ten incydent bardzo mnie zdziwił. Nie spodziewałem się, że wyższy rangą oficer może uderzyć podwładnego niższej rangi.

Kolumny po przekroczeniu bramy więzienia ruszyły w kierunku towarowej stacji kolejowej, gdzie stał przygotowany pociąg.

Stałem drugi w pierwszym szeregu. Pierwszym był dyrektor zakładu inż. Surowiak. Raptem podszedł do dyrektora oficer z dwoma gestapowcami i zapytał:

– Beruf! (zawód)

– Inżynier mechanik - odpowiedział

Zapytał mnie:

– Schloser - odpowiedziałem

Zapytał trzeciego. Tamten odpowiedział jakiś zawód (chyba rolnik), na co zareagował oficer:

– Ab - krzyknął.

Gestapowcy wyrzucili go z szeregu. Tak po kolei przepytывał wszystkich.

Zorientowaliśmy się, że wybierają fachowców, przeważnie z naszego zakładu. Wybrali około 100-150 fachowców, wśród nich przeważali Łapiacy.

Zastanawialiśmy się co z nami zrobią. Zaczęli wszystkich ładować do pociągu, a nas zostawiają na placu. Dlaczego? Może zakład nas reklamował? A może tamtych wywiozą, a nas rozstrzelają jako zakładników? Nurtowały nas różne pytania.

W końcu obstawili nas wartownicy i ruszyliśmy tą samą drogą z powrotem do więzienia. Porozdzielali nas po różnych celach. Pierwszy raz od czasu aresztowania spotkałem się ze swoim ojcem w jednej celi. Byliśmy święcie przekonani, że nas reklamował zakład i wkrótce zwolnią nas do domu. Sądziliśmy, że dłużej nie będziemy niż dwa dni. Rzeczywistość okazała się inna. Dni mijały a my przebywaliśmy w celach. Do tego opanowały nas wszy, które niemożliwie gryzły. O myciu się nie było mowy. Wyżywienie więcej niż mizerne. Rano trochę kawy zbożowej (oczywiście czarnej) i kawałek chleba. W południe miska zupy tak rzadkiej, że prawie sama woda. Słabliśmy z każdym dniem. Do tego w nocy wpadano do celi i wybierano z listy więźniów do rozstrzelania. To było makabryczne.

Sądziliśmy że nas to też nie ominie. Straciliśmy nadzieję na zwolnienie, gdyż do celi przemycili ulotkę z ulicy informującą o rozstrzelaniu zakładników. Spanie na zimnym i mokrym betonie odbijało się ujemnie na naszym zdrowiu. Po paru dniach zaczęto nas brać na śledztwo. Było to uciążliwe, gdyż budzono około 5.00 rano i prowadzono do budynku, gdzie prowadzono przesłuchanie. Przez cały budynek ciągnął się korytarzowy, z którego po każdej stronie były drzwi do pomieszczeń, w których oficerowie przeprowadzali dochodzenie. Nas ustawiano na baczność pomiędzy drzwiami. Plecami do ściany oczekiwaliśmy na wezwanie. Śledztwo rozpoczynało się około 4.00 po południu, czyli cały dzień trzeba było tak stać. Było to bardzo wykańczające. Na śledztwo przychodził oficer gestapo wraz z tłumaczem. Stawiano różne podchwytliwe pytania. Musiałem bardzo uważać z odpowiedzią. Ogólnie nie bili. Raz tylko oficer zerwał się i pistoletem podniósł mi brodę. Myślałem, że strzeli, bo chwilami celował mi w głowę. Ale jakoś szczęśliwie się skończyło i odprowadzono mnie do innej celi niż ta z której mnie wzięto. Do tej samej celi nigdy nie wracano. Dlatego z ojcem spotykałem się przypadkowo, ponieważ ojciec też był brany na śledztwo. W ciągu pobytu w więzieniu 3 razy byłem na śledztwie. Wmawiano mi udział w podziemiu, roznoszenie ulotek, prasy itp.

Raz spotkało mnie wyjątkowo nieprzyjemne wydarzenie.

Kiedy staliśmy pod ścianą, zapytałem obok stojącego więźnia (jakieś 5 m ode mnie) za co siedzi i czy wpadł z łapanki tak jak my. Lecz w tym momencie otworzyły się drzwi naprzeciwko, z których wyszedł gestapowiec. Zorientował się że chciałem rozmawiać, dlatego dał mi w zęby i za karę kazał stać z podniesionymi rękami. Było to chyba około 10.00, a śledztwo rozpoczynało się około 16.00. Myślałem, że nie wytrzymam. Tak bolały ręce, że wprost opadały. Ale kiedy się otworzyły jakieś drzwi, automatycznie podnosiłem do góry. Kiedy po południu zjawił się prowadzący śledztwo i kazał mi opuścić ręce, myślałem że mi odpadną. Okropny ból. Kiedy opuściłem dosłownie same ręce z powrotem szły do góry. W końcu opanowałem jakoś ból i opuściłem ręce. Ale po tym incydencie przez trzy dni bolały mnie one.

W nocy między 23 a 24 wpadali do celi gestapowcy. Wyglądało to następująco. Najpierw do celi wpadał nadzorca i wrzeszczał:

– Aufstehen! (powstać)

Wszyscy zrywali się na równe nogi, stając na baczność. Następnie wchodził gestapowiec i wnikliwie każdemu patrzył w oczy. Wzrok jego był bandycki. Wszyscy z przejęcia truchleli. Co będzie? Kiedy wyszedł nikogo nie zabierając, wszyscy oddychali z ulgą, długo dochodząc do jakiejś równowagi psychicznej.

Ale egzekucje odbywały się często. Kiedy na teren więzienia wjeżdżały samochody, myśmy jednego podnosili wysoko, żeby ponad blachami mógł zerknąć co się dzieje.

Więźniom przeznaczonym na rozstrzelanie kazano się rozbierać i tylko w bieliźnie ładowano do samochodu.

Wyglądanie przez blachy było też niebezpieczne. Pewnego razu kiedy jeden z kolegów wyglądał, padł strzał z wieży wartowniczej. Szczęście że nikogo nie trafił, ale zaraz do celi wpadł nadzorca i powiedział, żeby przyznał się ten kto wyglądał. Zostanie ukarany trzema dniami karceru. W przeciwnym razie cała cela przez trzy dni nie dostanie nic do jedzenia. Żeby nie narazić na głód kolegów i tak wycieńczonych zgłosił się Stachowski z Łap (pracował ze mną w zakładzie). Czekaając na jego powrót z karceru, każdy odłamywał od pajdki kawałek chleba, żeby dać mu jak wróci, gdyż w karcerze nie dawano nic do jedzenia.

Po jakimś czasie większość Łapiaków przenieśli do tzw. izolatki. Była to duża cela. Mieściło się tam około 100 osób. Warunki były lepsze bo podłoga była drewniana. Ale mówili, że z tej celi wychodzi się tylko na tamten świat.

[...]

Coraz częściej wykonywano wyroki. Baliśmy się wyglądać, ale słyszeć było, jak komando zakopujące zabitych, wrzuca do samochodu łopaty i kilofy i wyjeżdża samochodami. Rozmawiając w celi ze znajomymi doszedłem do wniosku, że niewielu było wziętych z listy. Większość była z łapanki. Co to za lista dręczyło mnie pytanie. Na jakiej podstawie sporządzono tę listę?

Kiedy do domu wpadli gestapowcy, myślałem że to wpadka przez karabin jaki zdobyłem w zakładzie. W jaki sposób? Do zakładu przychodziły wagony, w których transportowano jednostki wojskowe. W wagonach była słoma, na której spali żołnierze. Czasami w słomie można było znaleźć broń i amunicję. Prawdopodobnie podczas bombardowania pociągu, żołnierz zginął lub był ranny, a jego broń pozostała w słomie. Koledzy, którzy pracowali przy remontach wagonów pomogli zdobyć karabin. Gorzej było wynieść go z zakładu. Ale udało się. Broń porządnie schowałem na strychu. Ale nie mogło to być powodem aresztowania, gdyż nie robili rewizji i w śledztwie nie pytali o broń.

Sprawa wyjaśniła się dopiero po wojnie, kiedy jeden dziennikarz gazety białostockiej, trafił na archiwum gestapo i publikował ciekawe informacje dotyczące nas. Okazało się, że pracował z nami agent gestapo. Nazywał się Jerzy T., był synem popa. Pracował w tym samym dziale, jako elektryk i

nigdy bym nie podejrzewał, że jest agentem. [...] Według relacji dziennikarza, sporo nazwisk z zakładu przekazał do gestapo. Bardzo dużo z innych wydziałów, z naszego wydziału (gdzie pracował) tylko 5 osób, prawdopodobnie dlatego, aby nie budzić podejrzeń.

Dni mijały, a my z każdym dniem byliśmy coraz bardziej słabi i coraz bardziej załamani psychicznie. Przestaliśmy wierzyć w zwolnienie z więzienia. Tak prawdopodobnie byłoby nadal, gdyby nie pewne wydarzenie, które poruszyło nas wszystkich. Gdzieś pod koniec czerwca wpada do celi nadzorca wraz ze szrajberem i czytają około 30 nazwisk. Każą zabierać ze sobą wszystko i ogłaszają, że oni zostaną zwolnieni z więzienia. Nie wierzyliśmy. Ale twierdzili, że na pewno, ponieważ zakład ich pilnie potrzebuje. W tej 30 był mój ojciec. Znowu wstąpiła w nas nadzieja na uwolnienie. Jeżeli tamtych zwolnili to na pewno i nas. Liczyliśmy dni. A może jutro?

Stało się, inaczej. Rzeczywistość napisała dla mnie inną historię.

05.07.1944 r. wieczorem wyprowadzono nas na korytarz, wyczytywano nazwiska i zapędzono do różnych cel. Wszystkich przemieszano. W mojej celi prawie nie miałem żadnych znajomych. Nie wiedzieliśmy, o co chodzi? Wszędzie było tylko słycać wrzaski gestapowców. Po zamknięciu cel byliśmy znowu zszokowani. Chyba to przygotowanie do rozwałki. W nocy rozpoczął się nalot rosyjskich samolotów. Niebo było oświetlone raketami oświetlającymi. Artyleria strzelała. Bomby spadały nawet blisko więzienia. Żeby tak w więzieniu. Może dało by się uciec? Trwało to parę godzin, ale ranek był już spokojny.

Rano zaczęto nas wyprowadzać na dziedziniec więzienny. Po uformowaniu kolumn, ogłoszono, że zostaniemy wywiezieni do obozów. Byliśmy zaskoczeni. Nie rozstrzelają! Opanowała nas radość. Niektórzy zaczęli nawet śpiewać, nie wiedząc co nas czeka w przyszłości.

Kolumny minąwszy bramę skierowano do pociągu. Było to 06.07.1944 r. Tak opuściliśmy więzienie w Białymstoku.

3. Wywóz do obozu koncentracyjnego

Po załadowaniu do pociągu, po sprawdzeniu czy wszystko w porządku i po rozproszczeniu konwojentów, pociąg ruszył.

Konwojentami byli Ukraińcy, którzy służyli w gestapo. Niemcem był komendant transportu i jego zastępca. Konwojenci jechali w trzech wagonach, które rozmieszczone były na początku, w środku i na końcu składu. W pierwszym wagonie był komendant. Konwojenci jechali w otwartych drzwiach swoich wagonów towarowych, aby mogli obserwować pociąg podczas jazdy. Na postojach wyskakiwali z wagonów i obstawiali cały skład.

Transport jechał przez Grajewo, w kierunku na Olsztyn (Allenstein). Przed Olsztynem pociąg zatrzymał się. Był ogromny upał, a my siedzieliśmy w zamkniętych wagonach bez kropli wody do

picia. Ludzie mdleli. Znalazło się dwóch Polaków, którzy byli tam na robotach przymusowych. Roznosili nam wodę w wiadrach. Ale to wszystko było mało, z powodu ogromnego zapotrzebowania. W końcu ich odpędzono.

Pod wieczór pociąg ruszył w dalszą drogę, ale za Olsztynem znowu zatrzymał się. Stał około godziny.

[...]

Następnie pociąg ruszył w dalszą drogę. W ciągu dnia miał długie postoje. W nocy (było to na Śląsku) zaczęło wielu więźniów uciekać z pociągu. Jedni wyskakiwali podczas jazdy pociągu przez górne okienko, inni wyłamywali deski w podłodze i przez te dziury uciekali na postojach.

Chyba ucieczki mocno nasiliły się, bo na rozkaz komendanta zatrzymano pociąg i zaczęto sprawdzać stan w poszczególnych wagonach.

Byłem tak zmęczony i tak mocno usnąłem, że nie usłyszałem kiedy weszli do naszego wagonu. Przesunęli wszystkich na jedną stronę i licząc po kolei przesuwali na wolną stronę.

Ja leżałem na podłodze i nic nie słyszałem. W pewnym momencie ktoś mnie poderwał i przed oczyma zobaczyłem latarkę elektryczną i pistolet. Nie wiedziałem co się dzieje. W końcu dostałem kopniaka i wpadłem na innych więźniów.

Miałem potem pretensje do kolegów, że mnie nie obudzili. Tłumaczyli, że było ciemno i mnie nie zauważyli. Sami podrywali się w pośpiechu, nie wiedząc co się dzieje.

Rano pociąg wjechał na stację Gross-Rosen. Po jakimś czasie zaczęto nas wyładowywać i grupami pędzić do obozu.

Za jakiś czas przekroczyłem bramę obozu z napisem: Arbeit macht frei.

Tak znalazłem się w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen. Było to 08.07.1944 r.

II Obóz koncentracyjny Gross-Rosen

Obóz koncentracyjny Gross-Rosen znajdował się na Dolnym Śląsku w miejscowości Gross-Rosen (obecnie Rogoźnica).

Był to główny obóz, do którego należało około 100 podobozów. Do nich zaliczał się również podobóz Aslau, w którym jak się później okazało przebywałem najdłużej.

Gross-Rosen był jednym z najcięższych obozów, tak ze względu na rodzaj pracy, jak i brutalność zarządzających obozem. Śmiertelność w obozie przewyższała wszystkie inne obozy. Przeżyć Gross-Rosen graniczyło z cudem (podobno drugim tak ciężkim obozem był Mauthausen Gusen).

Podstawowym zatrudnieniem w obozie była praca w kamieniołomach (Steinbruch). W wielu wypadkach była to praca ponad ludzkie siły. Dzielne wyżywienie nie pokrywało wysiłku fizycznego, dlatego pracujący w kamieniołomach wytrzymywali zaledwie parę tygodni.

Część więźniów pracowała dla zakładów Siemens, wykonując różne części, ale był to nie wielki procent ogólnie znajdujących się w obozie więźniów.

Do tragicznych katorżniczych prac w kamieniołomach, dochodziła wyjątkowa brutalność nadzorców, tak ze strony SS, jak i nadzorców więziennych (kapo, blokowi i inni więźniowie funkcyjni).

Maltretowanie i zabijanie więźniów było u nich na porządku dziennym. Obóz ten jest dokładnie opisany przez Mieczysława Mołdawę w książce pt. „Gross-Rosen, obóz koncentracyjny na Śląsku”.

Nasz transport z więzienia białostockiego przekroczył bramę obozową w dniu 08.07.1944 r. Początkowo wprowadzono nas na Appellplatz, a następnie w poblizę łaźni.

Pogoda znacznie pogorszyła się. Zaczął padać deszcz i wiać silny wiatr.

Staliśmy na placu do późnego wieczora - przemoknięci, zziębnięci i osłabieni z powodu ciężkiej podróży. Do tego byliśmy wygłodzeni. Nikt nami się nie interesował. Dopiero późnym wieczorem (prawie w nocy) zaczęto wprowadzać nas do łaźni. Zabrano wszystkie ubrania i poddano strzyżeniu i goleniu. Najpierw strzyżono włosy, a potem golono „sztrajfy” na głowie (pasy szerokości 3 cm, które każdy więzień, musiał mieć przez cały okres pobytu w obozie). Oprócz „sztrajf” golono jeszcze wszystkie włosy na ciele. Najgorzej wyszli ci co mieli bardzo owłosione ciało. Po takim goleniu, byli tak okaleczeni i zakrwawieni, jakby przeszli przez jakieś piekło.

Następnie zapędzono nas pod prysznic, celem umycia się. Gorący prysznic był dla nas wyjątkowo przyjemny, gdyż poprzednio byliśmy niesamowicie wyziębieni. Sądziłyśmy, że po tej kąpieli dostaniemy ubrania. Stało się inaczej.

Po wyprowadzeniu z łaźni, staliśmy nago na zimnym wietrze, czekając na kąpiel pozostałych. Trwało to chyba powyżej pół godziny.

Po uformowaniu kolumny, kazano nam biec na blok. Mięśnie tak zeszywniały z zimna, że ludzie przewracali się biegnąc, a najgorzej wypadało, kiedy trzeba było pokonać trzy schodki. Tam leżała sterta nagich ciał, którą kapowie tłukli kijami mobilizując do dalszego biegu.

Na bloku wydano nam ubranie. Potem przeliczono, a następnie kazano rozbierać się i wchodzić na prycze, w celu spania. Aby przyspieszyć zajmowanie prycz, sztabowi tłukli kijami każdego, kto jeszcze nie zdążył położyć się.

Rano odbyła się pobudka. Dostaliśmy pół litra wodnistej zupy. Rozpoczął się apel. Trwał bardzo długo. Po apelu komanda poszły do pracy, a nas zatrzymano pod blokiem. Za byle co tłukli kijami. Jeden z więźniów po ciosie w głowę nie mógł wstać. Blokowy, który to widział, powiedział:
– Zawołać flegra (pielęgniara).

Sądziliśmy, że pielęgniarz przyjdzie żeby mu pomóc z punktu widzenia medycznego. Po jakimś czasie przyszedł pielęgniarz i dał mu zastrzyk uśmiercający (fenol). Więzień po zastrzyku lekko się uniósł, następnie opadł i zamknął oczy. Potem go zabrano do krematorium. Incydent ten, dla nas nowicjuszy obozowych był wyjątkowo wstrząsający.

Po przeliczeniu nas zapisano wszystkie dane i wtedy pierwszy raz w obozie dostałem w zęby.

Kiedy zapytał mnie kapo:

- Beruf (zawód) odpowiedziałem zbyt cicho:
- Schlosser – co go zdenerwowało i czynnie zareagował.

Następnie przyszła komisja, przed którą trzeba było się rozebrać i po kolei każdego oglądali. Potem wydzielili młodocianych i przenieśli na blok 6 - dla młodocianych. Kolejno brali i wypełniali kartoteki. Szrajber, który pisał na maszynie na koniec powiedział:

- Teraz musisz to podpisać. Czy wiesz za co siedzisz? Zugehörigkeit WB
- Co to jest? - zapytałem
- Zugehörigkeit widerstandsbewegung (przynależał do ruchu oporu) i będziesz siedział do końca wojny.

Od tej pory stałem się więźniem obozu koncentracyjnego Gross-Rosen o numerze 4411.

Następnie ustawiono nas przed blokiem i zaczęto ćwiczyć według wojskowego drylu.

- Mützen ab (czapkę zdjąć)

Na słowo: mützen - należało czapkę chwycić. Z kolei na słowo: ab - należało zamasyścić zdjąć i mocno uderzyć o bok nogawki.

- Mützen auf! (czapkę włóż) - należało zamasyścić założyć czapkę na głowę.

Również ćwiczyliśmy inne formy musztry.

- Das ganze stillstand! (baczność)
- Die Augen gerade aus! (patrz na wprost)
- Marschieren! Links, links! (maszerować, lewa, lewa)
- Antreten! (zbiórka)

oraz wiele innych komend, które ćwiczyliśmy przez cały dzień, z przerwą na obiad. Była to miska wodnistej zupy z brukwi. Trzeba było w pośpiechu zjadać, bo zaraz wypędzano do dalszych zajęć.

Wszystko trzeba było robić w biegu. Do spania, do mycia, do jedzenia - nie było chwili do zastanowienia się.

Całodzienna musztra była dla nas umęczeniem, co powodowało, że myliliśmy się w pewnych czynnościach. Te pomyłki wyzwały brutalne reakcje kapoów. Ich reakcja dosięgła i mnie też. Na komendę: mützen, należało tylko chwycić za czapkę, nie zdejmując jej, a ja w tym momencie zdjąłem, co zauważył kapo. Dobiegł i dał mi kopniaka w żołądek, aż przewróciłem się. Poczułem niesamowicie silny ból. Wprost nie mogłem wyprostować się. W końcu jakoś doszedłem do siebie. Ale kiedy na kolację zacząłem jeść zupę, dostałem torsji z krwią, co oznaczało że coś w żołądku pękło. Takie uczucie miałem przez parę dni. Potem przeszło.

Trudno było przeżyć dzień, aby nie dostać pałką, szczególnie w okresie początkowym, kiedy człowiek był nie obeznany z zasadami życia obozowego.

Następnego dnia rano podczas zbiórki komand znowu zdarzył się nieprzewidziany incydent. Wybiegłem z bloku żeby dołączyć do komanda nowicjuszy, które ćwiczyło musztrę. Obok formowało się do wymarszu komando pracy. Nie mogło wyruszyć, bo kapo do blokowego krzyczał, że jednego brakuje. Blokowy obejrzał się i zobaczył mnie wybiegającego. Chwycił za kołnierz i pchnął w kierunku kapo. Ten zapisał mój numer i powiedział, że jutro mam się meldować w tym komandzie, bo będę tam na stałe pracował.

Kiedy mineliśmy bramę obozu kierując się w kierunku kamieniołomów, byłem wściekły. Myślałem, że w obozie będzie lepiej niż w więzieniu. A tu prawie co dzień coś mnie spotyka. Pierwszego dnia dostałem w zęby, następnego w żołądek, a dziś trafiłem do kamieniołomów.

Do naszych obowiązków należało przenoszenie połupanych skał granitowych. Braliśmy ze sterty połupane skały wydobyte z kamieniołomu i nosiliśmy chyba do dalszej obróbki, gdzie pod wiatą siedzieli więźniowie i obrabiali prawdopodobnie na kostkę brukową. Wszystko to robiliśmy w ogromnym pośpiechu, dlatego trudno mi ocenić, gdzie były sterty skał (na pewno nie bezpośrednio w kamieniołomie), jak daleko od wiat i w którym miejscu były wiaty. Nie mniej praca przy noszeniu skał na ramionach była wyjątkowo ciężka. W pośpiechu chwymano skały, dlatego raz popadł lekki kawałek, innym razem kawał ponad moją siłę. Od skał bolały ramiona.

Pracowały tam i inne komanda. Też byli bici i maltretowani, chociaż byli starszymi i doświadczonymi więźniami. Zapamiętałem jeden taki bandycki incydent. Jeden z wachmanów rozmawiając z kapo rzucił dyskretnie kawałek chleba. Dwóch więźniów, którzy to zauważyli, skoczyło, żeby chwycić chleb. W tym momencie strzał i jeden padł, a drugi uciekł do grupy. Wachman się śmiał. Nie widziałem, kiedy rzucił chleb, zobaczyłem tylko jak strzelił.

Kiedy doszło do wachmana jeszcze dwóch kapo, śmiejąc się głośno rozmawiali. Jeden z więźniów zaryzykował (był przekonany, że zagadali się i zapomnieli o rzuconym chlebie), ale wachman był szybszy, strzał i drugi leży.

Kiedy myśmy zanieśli skały i wrócili po następne, zabitych już nie było. W dalszym ciągu stało dwóch wachmanów i dwóch kapo. Strzelec śmiał się i głośno wrzeszczał:

– Ich bin gut Jager, ich habe heute drei. (jestem dobrym myśliwym, dzisiaj mam trzech).

Prawdopodobnie zastrzelił trzech.

Takie incydenty w Gross-Rosen były na porządku dziennym.

Po powrocie do obozu dowiedziałem się od kolegów, że mają wysłać ich do innego obozu. Podobno ma być to dobry obóz. Jutro mają wybierać fachowców.

Rano prosiłem kapo, żeby mnie zostawił, lecz on się nie zgodził. Znowu poszliśmy do kamieniołomu. W południe wróciliśmy na obiad na blok i dowiedziałem się od kolegów, że wybierają ślusarzy, tokarzy itp. fachowców. Zacząłem myśleć kogo o to prosić, żeby wrócić do poprzedniego komanda. Chciałem pójść do blokowego, ale po drodze spotkałem kapo, któremu tłumaczyłem, że jestem ślusarzem, a tam takich potrzebują. Prosiłem żeby mnie zwolnił.

– Dziś nic z tego, może jutro - odpowiedział.

Usłyszał to chłopak, który był kalifaktorem na bloku. Podszedł do mnie i powiedział:

– Daj pajdkę chleba to za ciebie pójdę.

– Dam dwie tylko pójdź za mnie.

Chłopak podszedł do kapo, coś z nim rozmawiał, następnie spojrzał na mój numer i podał dla kapo. Kapo wyjął listę, skreślił mój numer i powiedział:

– Możesz iść do poprzedniego komanda.

Odetchnąłem z ulgą. Kiedy usłyszałem: komendę antreten, dołączyłem do kolegów i czekałem ze strachem, czy mnie z powrotem tam nie przerzucą. Ale nie. Komando poszło do pracy. Ja zostałem.

Prawdopodobnie kalifaktor za mnie nie poszedł, tylko wzięli innego więźnia. Pajdki dałem, również ze względu na uszkodzony żołądek. Chleba nie mogłem jeść.

Po południu zaprowadzono nas na inny plac, gdzie była komisja składająca się z funkcjonariuszy gestapo i cywilów. Najbardziej potrzebowali ślusarzy, monterów, mechaników, tokarzy, spawaczy, elektryków. Kiedy powiedziałem, że znam się na montażu maszyn, remontach obrabiarek oraz mogę również spawać i jak powiedziałem, że robię to od trzech lat, to od razu mnie wzięli. Ucieszyłem się.

Zdążyłem dosłownie w ostatnim momencie, bo na drugi dzień już nie wybierali. Wybór niektórych pracowników wyglądał archaicznie, coś jak za czasów Nerona przy kupnie niewolników. Zagłądali niektórym w zęby. Kazali przebiec parę metrów. Zrobić przysiady. Sprawdzali siłę w rękę itp.

Tym co komisja wybrała wydano nowe pasiaki i drewniaki. Potem zebrano w kolumnę i w marszu przekroczyliśmy bramę obozu.

Było to 15.07.1944 r.

Ruszyliśmy w kierunku dworca kolejowego. Tam załadowano nas do wagonów towarowych. Ruszyliśmy w dalszą drogę. Przez okienko obserwowałem, gdzie jedziemy. Jauer (Jawor). Lignitz (Legnica). Następnie skierowaliśmy się Bunzlau (Bolesławiec). Po jakimś czasie pociąg zatrzymał się w polu i lokomotywa zaczęła pchać wagony do tyłu, aż w końcu zatrzymaliśmy się. Czekaliśmy. Przez okienko zobaczyłem jakby bramę obozu. Dobrze nie było widać, bo wokół był las. Po pewnym czasie otwarto wagony i kazano nam wychodzić. Po uformowaniu kolumny, przeliczono i sprawdzono numery. Wszystko zgadzało się. Komendant rozkazał maszerować. I tak przekroczyliśmy bramę obozu koncentracyjnego w Aslau. Był to 15.07.1944 r.